

## DWIEŚCIE TEZ Z FILOZOFII LECA

Minęło pięćdziesiąt lat od śmierci polskiego La Rochefoucauld, Stanisława Jerzego Leca (1909-1966). Być może jest po prostu Rochefoucauldem XX w. Od przeszło półwiecza jego *Myśli nieuczesane*, jako *Unkempt thoughts*, *Unfrisierte Gedanken* czy *Nepričesannye mysli*, przynoszą w świecie chlubę naszej kulturze. Zachwycają i formą, i treścią. Subtelnie bawią, ale i dosadnie smucą – jak wspomniany Francuz – i jego rodak Pascal jednocześnie. Składały się te aforyzmy na atmosferę duchową Polski lat 60. minionego wieku. Dziś ich polityczna aluzyjność wyparowała. Czytając je, świat się jednak nadal serdecznie śmieje. I to nie z braku całościowej fryzury, ale z perfekcyjnego ufryzowania poszczególnych loków. W pierwszym wydaniu było ich jedynie 193, w kolejnych: 580, 910 (w 1964 r.), 2160, a w ostatecznym 4711 (2006 r.)<sup>1</sup>. Niby żartem autor napisał: „Gdy stracę dowcip, okrzykną mnie filozofem” (284). I okrzyknęli, bez lekceważenia wszak humoru, przynajmniej Kołakowski<sup>2</sup> i Wolniewicz<sup>3</sup> – dwaj znani akademicy filozofowie – rówieśnicy i antagoniści, z następnego pokolenia. Co do poczucia humoru zaś, to Schopenhauer tak w *Przyczyńku do teorii śmieszności* powiada: „(...) zjawisko śmiechu oznacza zawsze nagłe uświadomienie sobie rozbieżności między (...) pojęciem a pomyślanym przez nie przedmiotem realnym, czyli między abstrakcją i naocznością”<sup>4</sup>. A dalej czytamy: „(...) humor polega na nastroju poważnym i podniosłym, który popada w konflikt ze światem zewnętrznym, całkiem od niego różnym

---

<sup>1</sup> S. J. Lec: *Myśli nieuczesane wszystkie*. Warszawa 2006, stron 701. W nawiasach po cytatach podajemy stronę z tego wydania.

<sup>2</sup> „Był tedy Lec filozofem (...)”. L. Kołakowski: *Pamięci Stanisława Jerzego Leca* (1966), w tegoż: *Pochwała niekonsekwencji*. Warszawa 1989, t. 3, s. 90.

<sup>3</sup> Obok Miłosza i Lema – filozofem jest Lec – profesor mówił to wielokrotnie i powtórzył specjalnie na tę okazję.

<sup>4</sup> A. Schopenhauer: *Świat jako wola i przedstawienie*, przeł. J. Garewicz. Warszawa 1995, t. 2, s. 125-126.

i pospolitym”<sup>5</sup>. Mamy u Leca oba czynniki w stopniu najwyższym – poetycką naoczność świata oraz jego powagę i podniosłość – konflikt zatem murowany. Interesować nas będzie głównie czynnik drugi.

To jego mając na myśli, autor o swych dokonaniach mówi: „Gra słów – tanioccha? Zależy, o co idzie gra” (506).

Wspomniany wielki niemiecki racjonalista mówił o sztuce, a przede wszystkim o poezji: „(...) Poznanie idei jest celem wszelkiej sztuki. (...) Pojęcie jest abstrakcyjne, dyskursywne (...). Natomiast idea, którą niewątpliwie należy zdefiniować jako adekwatny reprezentant pojęcia, jest na wskroś naoczna (...). (...) Wszystko, co poruszyło serce jakiegokolwiek człowieka i co wydobywa z siebie natura ludzka w jakiegokolwiek sytuacji, co kiedykolwiek mieszka i lęgnie się w piersi ludzkiej, jest dla (poety – P. O.) tematem i materiałem (...). (...) Idea wywołuje u tego, kto ją uchwycił, przedstawienia, które w stosunku do pojęcia o tej samej nazwie są nowe; przypomina ona żywy, rozwijający się, obdarzony płodnością organizm, który tworzy coś, co nie leży w nim jak w pudełku”<sup>6</sup>.

Można powiedzieć: myśl poetycka w stosunku do filozoficznej bywa zygotą. Albo inaczej: myśli przysługuje zygotyczność, kiedy jej związła i izolowana forma pozbawiona jest systemowego kościca, chociaż zarówno szkielet jak i duch są w niej już przesądzone. Dodatkowo, humor takich form polega na wrażeniu, jakby zarodek był miniaturką innego stworzenia.

Racjonalistyczna filozofia wyklucza bezpośredni wgląd w Byt. Choć zajmuje się ona tym tylko, jak jest naprawdę, zdana jest na roztrząsanie zdań, którymi ludzie o Bycie myślą. A co może być w tej materii lepsze niż najkunsztowniejsza literatura piękna? Bez swych poetów, czy szerzej artystów, żaden naród nie wydałby z siebie filozofii; bez dobrego smaku nie byłoby inteligentnej metafizyki. Nie byłoby bowiem wystarczającego dla niej tworzywa. Dlatego drugi obok Schopenhauera nowożytny platończyk – Elzenberg – tak powiada: „każdy obraz (porównanie albo przenośnia – P. O.) (...) jest tworem natury poznawczej: twierdzeniem albo czymś, co pewne twierdzenie zakłada. (...) (...) Wiedzę

<sup>5</sup> Tamże, s. 139.

<sup>6</sup> Tamże, t. 1, s. 377; 363; 386; 365.

o niektórych rzeczach może on, w niektórych wypadkach, przekazywać lepiej niż każdy inny sposób sformułowania”<sup>7</sup>. Zdawał sobie z tego sprawę Lec: nazywał poezję „okruciami myśli” (410), a poetów – „papugami powtarzającymi niewypowiedziane” (546). Bez nich, choć zwykle czynią swoje bezwiednie, niewypowiedziane trwałoby nietknięte. Był ten autor także, jak mało kto, świadom, ile wysiłku włożyć trzeba w przekraczanie względnych granic języka. Powiedział o tym z elegancją: „Myśl się toczy, jestem jej tokarzem” (412).

Dla wielu współczesnych bowiem ma się toczyć sama – w lawinie ich samorzutnych ‘dyskursów’. I nie przekonuje ich nawet przestroga następująca, bo się do niej stosują jedynie politycznie: „Ceń słowa! Każde może być twoim ostatnim” (75).

Otóż poetycki, czyli uczuciowy stosunek do rzeczy mówi coś i o samych tych rzeczach. A na tej podstawie można zamarkować ich teorię, czyli filozofię. Takowa wyłania się choćby z myśli uczesanych nieco – Stanisława J. Leca. Gdyby jego aforyzmy były tylko powiązane – jak w *Traktacie* Wittgensteina – byłyby filozofią; gdyby były jeszcze kompletne, mielibyśmy *Tractatus logico-anthropologicus*. Uczesanie aforyzmów nie wymaga jakichś karkołomnych działań, jedynie zasadniczej klasyfikacji oraz krótkiego komentarza – jak we wzorcowych pracach Tatariewiczza. Klasyfikujemy zatem, przydzielając wpierw wybrane aforyzmy do trzech głównych działów metafizyki (tak jak je widział Kant): do racjonalnych kosmologii, psychologii i teologii. Dwa pierwsze nazywać będziemy przy tym: metafizyką ogólną oraz antropologią filozoficzną. Jako że namysł nad naturą ludzką jest w *Myślach* najważniejszy, antropologię dzielimy dodatkowo na subdyscypliny, odpowiednio do jej centralnych zagadnień, a przez to i znaczących widoków człowieka. Antropologiczne myśli autora pogrupowane więc będą w rubrykach: dusza a ciało, wrodzone a nabyte, jednostka a społeczeństwo, dusza a zło, religia i religie – oraz – kultura i barbarzyństwo. Poza metafizyką typologia nasza uwzględni też dwa pozostałe, główne działy filozofii: wyróżnimy tezy Leca epistemologiczne (dotyczące zwłaszcza logiki) oraz aksjologiczne (czyli z filozofii praktycznej). W ten sposób filozo-

---

<sup>7</sup> H. Elzenberg: *O funkcji komunikatywno-poznawczej wysławiania się obrazowego*, w tegoż: *Wartość i człowiek*. Toruń 1966, s. 161.

ficzny obraz wyłoni się niczym z pomieszanych puzzli, także tych brakujących. I w tym ostatnim, w sztukowaniu, pewne ryzyko. Bez niego nie byłoby wszak efektu. Główne elementy są w uzyskanym obrazie dobrze znane, lecz wybór dwustu aforyzmów i ich układ są nowe, a to redukuje ich pierwotną wieloznaczność.

Stanisław Lec, daleki od zapędów systemotwórczych, dysponował dużą dozą filozoficznej samowiedzy. Mówi on choćby w ten sposób: „Gdy samodzielnie odkryłem myśli wypowiedziane już gdzieś przez wielkich filozofów, nie podnosiło to mnie w moich oczach, lecz umniejszało ich. Mikro– czy megalomania?” (43). Ani jedno, ani drugie. Prawda nie ma z *ego* nic wspólnego. (Przykładowo: cytowany Elzenberg, w 1928 r. niezależnie mówił to samo, co Wittgenstein w 1921). Prawdy dosięga bezosobowy język – jedynie poprzez nas. Choćby przez tę cudowną zygotyczność zdań Leca, w stosunku do których autor nąpomina: „Łam składnię, gdy za sztywna dla myśli” (512).

**1. Metafizyka ogólna.** Kosmologia nie była domeną Leca, niemniej jednak i w tej dziedzinie znaleźć można u niego precjoza. Oto przykład: „Człowiek żyje krótko. Sprawa przelotowości świata” (191). Obok leżącego na wierzchu sensu demograficznego, tkwi w tej sentencji także sens metafizyczny: epikurejskie przeświadczenie o narodzinach i śmierci wszystkich rzeczy jako atrybutach Bytu. Przywodzi ona na myśl Lukrecjański wieczny taniec atomów – składających się wciąż na coś – i rozkładających. Potwierdza to myśl kolejna: „Wszystko się składa na dzieje i wszystko się na nie rozkłada” (252).

Ta „przelotowość” – kosmiczna – może dostarczać owej „krótkości” eschatologicznej nadziei. Dostarczała choćby Lemowi; czy także Lecowi – nie jest jasne, gdyż nie wiadomo, czy bezsens kosmiczny nie jest u niego absolutny. Na temat pewności śmierci, bez względu na sens życia, czytamy: „Brak pointy nie zwalnia widza od obowiązku opuszczenia teatru” (279). Z epikurejską metafizyką łączy Leca ponadto *atomizm logiczny* – jak u Wittgensteina wymierzony w holizm typu Heglowskiego. Czytamy: „Historia – zbiór faktów, które nie musiały zajść” (247).

Kategorie trafu i fatum łącznie składają się bowiem na osobowy czy zbiorowy los; zawsze – nie tylko w przypadku spiskowych domysłów, jak poniższy:

„Wszystkim rządzi przypadek. Gdybym jeszcze był pewny, kto nim rządzi” (459).

Według Leca, światem władają jednocześnie przypadek i konieczność, dlatego mówi on, niby paradoksalnie: „Wierzę w precyzyjną przypadkowość” (595).

Mamy też w *Myślach* apoteozę istnienia, chociaż już nie epikurejskiej, a raczej chrześcijańskiej proveniencji: „Świat powstał chyba ze strachu przed pustką” (261). Augustyn rzekłby: aby chwała Boża mogła się objawić. Cud istnienia świata współbrzmi zaś u Leca z jakąś doskonałością rzeczywistości – raczej Leibnizjańską: „Dopiero po Stworzeniu Świata powstało mnóstwo niestworzonych rzeczy” (66).

Osobliwości owe bywają bowiem *in plus* i *in minus*. Dowiadujemy się ponadto od autora o zasadniczej ich asymetrii – dobra i zła w skali kosmicznej. Truizmem jest, że łatwiej niszczyć niż budować, dlatego Lec zwraca uwagę na niewspółmierność w dynamice dobra i zła moralnego. Stwierdza mianowicie: „Wymiar niesprawiedliwości jest zawsze we właściwych rękach” (62). Z jemu przeciwnym „wymiarom”, jak wiadomo, bywa różnie – nie lęgnie się on, w każdym razie, na kamieniu. Dlatego, z soteriologicznym zacięciem, powiada dalej Lec: „Idzie o to, czy wszechświat kończy się żywopłotem, czy drutem kolczastym” (251). O to, w istocie, toczy się światowa gra, jak w *Państwie Bożym* Augustyna. Kosmologiczny pesymizm wyziera też z sentencji następującej: „Dno nie istnieje. Istnieją tylko przeszkody głębi” (40).

Wyziera zarówno, gdy ją rozumiemy aksjologicznie, jako kwestię granic zła (nie jego przyczyn, bo wówczas mielibyśmy – z ironią – optymizm), czy rozumiemy teoriopoznawczo (jako niepełność i niepewność wiedzy). Druga z tych spraw wynika z ograniczoności ludzkiego rozumu, skazanego stale na uproszczenia w dążeniu do prawdy. Autor o szczególnych dążeniach tego rodzaju napisał: „Idealiści pragną materializacji duchów” (49). Można by uzupełnić: albo materialiści chcą idealizacji ciał. Antagonizm tych dwóch odwiecznych sposobów uprawiania metafizyki nieodłączny jest od rozumu skończonego, wrzuconego w

nieskończony świat. Można pomyśleć jakby ten ostatni wyglądał bez stworzonego rozumu: „O ile mniej działałoby się na świecie, gdyby nie istniały słowa” (285). A o innych od naszego rozumach skończonych Lec w ten sposób się wypowiada: „Mózg elektronowy będzie za nas tak myślał, jak krzesło elektryczne za nas umiera” (626). Sztuczna inteligencja może być bowiem jedynie narzędziem w ręku człowieka. Gdyby natomiast zjawił się obok nas nowy rozum, nasz zostałby unicestwiony, albo podprządkowany, albo – w najlepszym razie – pozostałby czymś obcym (jak był niegdyś, być może, rozum neandertalski).

**2. Antropologia filozoficzna. 2.1/ Antynaturalizm.** W kwestii naszego miejsca w przyrodzie Lec ma wątpliwości czy w całości się w niej zawieramy. Inaczej niż Demokryt i Darwin, powiada: „A może wyobrażamy sobie człowieka zbyt antropomorficznie” (257). Otóż niektórzy postrzegają jedynie człekokształtność, bez odróżniania człowieczeństwa. Jest to błąd, to ostatnie bowiem stanowi o naszej osobliwości czy emergencji. W tym samym duchu czytamy dalej:

„Źródłem wielkiej pomyłki jest pojmowanie humanizmu antropocentrycznie” (595). Wszak humanizm może być aksjocentryczny, nastawiony na realizację wartości bezwzględnych, w czym przejawia się człowieczeństwo właśnie i co jest antynaturalne – obce pozostałej przyrodzie. Zbudowani jesteśmy z tego samego co przyroda tworzywa, z atomów i DNA mianowicie, lecz nasze geny niosą zasadniczo nowe informacje, nie wyłącznie te darwinowskie. W tym byłby Lec zgodny z Conradem, Camusem, Jaspersem czy Elzenbergiem, także z Platonem i chrześcijaństwem. Znajdujemy to stanowisko wypowiedziane wprost, chociaż po świecku: „Symbolem nadprzyrodzonego jest dla mnie ratio!” (615). Do zagadnienia antropogenezy jak ulał pasują zaś słowa następujące: „Człowiek – skrzyżowanie małpy i czasu” (546).

Na normalnej ewolucyjnej drodze, w wyniku milionów lat zachodzenia mutacji, wraz z nami wyłoniły się (skąd?) dyspozycje do zachowań wcześniej w naturze nieobecne – odróżnianie prawdy od fałszu oraz dobra od zła – zwane krótko rozumem. Nie są to żadne udoskonalone skłonności małpie. A skoro tak, to przychodzi do głowy myśl: „Kariera człowieka we wszechświecie każe zastanowić się, czy nie korzysta on czasem z czyjejś protekcji” (238).

Nie chodzi o teleologię i czynnik człecosprawczy (*Anthropic Principle*), gdyż człowiek, jak wszystko, nieuchronnie przypadnie; raczej o to tylko, o czym wspominał Hume (w *Dialogach o religii naturalnej*) – że racjonalnie jest dopuszczać przestrzeń (owo „skąd?” z nawiasu wyżej) porządkującą świat, poza nim, a więc i poza człowiekiem, i jakoś do ludzkiej inteligencji analogiczną. Domysł uniwersalności rozumu potwierdza natomiast poniższa konstatacja:

„Jeśli ludzie kiedyś musieli wymrzeć, myśl znalazłaby sobie inne miejsce inkubacji” (529). Bo skoro rozum to określona atomowa struktura, może się on wcielać w rozmaite formy. Na tle natury jesteśmy wyjątkowi, na tle Bytu zupełnie zaś nie – jak u Pascala: oto „wielkość i nędza człowieka”.

## 2.2/ Natywizm i elitaryzm

Styl myślowy Leca zgodny jest z duchem wielkiego odkrycia Watsona i Cricka z 1953 r.: z hegemonią genetyki molekularnej. W zakresie tego, co w osobowości nabyte oraz tego, co w niej wrodzone, to drugie wyraźnie bierze górę. Leca natywizm – ogólnie pojęty – znajduje dobitny wyraz w stwierdzeniu: „W nasieniu drzewa kiełkuje już cień” (502).

Co do osobowości, stanowisko jego jest identyczne – wywiedzione z życiowego doświadczenia wybrednego rozumu – jak u Platona, Arystotelesa, Seneki czy Lukrecjusza. Autor powiada: „Nie mocuj się z sobą, i tak przegrasz” (567). Znaczy to: naszych wrodzonych zalet i przywar „nie da się wyrwać z korzeniem” (Lukrecjusz), co najwyżej obyczajnością ogładzić. Tkwiące w nas od urodzenia skłonności to potęga, fatum. Dlatego takie padają słowa o ludziach wielkich: „Prawdziwy wybraniec nie ma wyboru” (136).

Wrodzone są różnice osobowości i z tego powodu mówi się o typach ludzkich. Czytamy choćby: „Jak pchły skaczą myśli z człowieka na człowieka. Ale nie wszystkich gryzą” (15).

Ludzie różnią się bowiem bierną wrażliwością, intelektem oraz charakterem. Jakies, przykładowo, tezy filozoficzne mogą kogoś nie zainteresować z braku jego wrażliwości w tej dziedzinie. Dotyczy to nawet ludzi z filozoficznym wykształceniem, mogą nie mieć własnych poglądów w jakimś zakresie spraw. Konkretna myśl może też nie

wywołać rezonansu w czyjejs głowie z powodu niedostatków intelektualnych tej głowy, może być za trudna. I w końcu charakter: jeżeli ktoś nie ma wystarczającego pędu ku prawdzie, przyjmuje tylko te poglądy, których domaga się jego *ego* – absorbuje te służące życiu i eschatologiczne. Co do typów ludzkich zaś, to zasadniczo dzieli nas charakter, to jest zdolność odróżniania dobra od zła. Powiada Lec: „Nie otchłań dzieli, ale różnica poziomu” (211).

Poziomu sumienia, wrodzonego. Otóż decyduje nie przepaść słów czy obrazów świata, czy też zasad głoszonych, albo bodźców odebranych, a tylko różnica wcielanych reguł życia – sumień właśnie. Jaki kto otrzymał charakter, taki już jest, co autor ujmuje żartobliwie w ten sposób: „I na siebie trzeba się ucharakteryzować” (269). Jak się kto „charakteryzuje” to widać dobrze w trudnych czasach: „Działanie ucisku zależy od materiału, jedni stają się mniejsi, drudzy więksi” (166).

Ze względu na „materiał” populacja rozpada się przede wszystkim na *wybrednych* i *pospolitych* (za Schelerem, Bierdiajewem, Ortega, Miłozem i Lemem, także starożytnymi). Pospolitość jest zawsze jednej – bydlęcej – natury. To o niej czytamy: „Dialog półinteligentów równa się monologowi ćwierćinteligenta” (32).

Nie o wykształcenie tu chodzi, ani nawet o intelekt. Widać to z myśli kolejnej: „Posiadł wiedzę, ale jej nie zapłodnił” (65). Tylko do człowieka wybrednego odnoszą się natomiast słowa: „Na jedną indywidualność może się składać cała instytucja” (62).

Wybredność jednakże może być jasna albo ciemna. Stąd, między innymi, pesymistyczny aforyzm: „Za wielka była troska Noego o rodzaj ludzki. Wziął po parze z każdego gatunku” (169). Znajdujemy też sentencję niby przeciwną, optymistyczną: „Należy upowszechnić elitaryzm!” (96).

Mówi ona o tym, by w życiu społecznym liczyć się z właściwą hierarchią osób, to jest – by hierarchia społeczna była odbiciem aksjologicznej. Inaczej bowiem: „Góry wchodzą w kontakt z dołami podczas trzęsienia ziemi” (508). O „górach”, czyli jasnych duchach pośród nas, wolno rzec: „Wyrzutnie sumienia” (486). To do nich odnosi się też zdanie: „Można siebie stworzyć z niczego, ale to »nic« musi być w najlepszym gatunku” (488).



Zróznicowanie osobowości pospolitych uchwytuje zaś myśl następująca: „Jest małe nic i jest Wielkie Nic” (47); ich natury dotyka myśl kolejna: „Ci, co żyją z kłamstwa, potrafiliby żyć nawet z prawdy” (429). Słowa ostatnie pasują też do duchów ciemnych, których nie da się skwitować nawet jako „Nic”. Powiemy o nich dalej i osobno. Do osób zaś, które ‘muchy nie skrzywdzą’, Lec adresuje myśl taką: „Boję się aniołów, są dobrzy, zgodzą się być szatanami” (209). I kolejną, podobną: „Uważajcie, aniołowie bardziej szatanom niż ludziom są bliscy!” (479).

Otóż pośród inteligentnych trafiają się dobrotliwi – ludzie wielkiego współczucia i znikomej złośliwości; nazbyt wielkiego i nazbyt znikomej. Własny charakter, zasłaniając im widok ogólny, pociąga za sobą ślepotę na bezinteresowne krzywdzenie i paraliżuje (sprawiedliwą) pomstę. Dlatego dobrotliwi są groźni, tym bardziej – że są podatni na eschatologiczną modę, na nowe nadzieje dla naiwnych. Oto wyraz tego poglądu: „Anioły są bezpłciowe, mogą się rozmnażać jedynie przez agitację” (561). Dobrotliwości brak jest charakteru.

Obok wrodzonego rdzenia osobowości Lec dostrzega fakt, że odmienne duchowości – męska i żeńska – także tkwią w genach. Czytamy: Cóż wiem o kobiecie? No cóż, że dopiero z mężczyzną tworzą człowieka” (361). „Po czym poznałem, że to kobieta? Po sobie” (521).

Niezależnie od sensu popędowo-prokreacyjnego, można tym zdaniom przypisać także *androgyniczny*: jak u Platona – pełny człowiek to dopiero mężczyzna i kobieta łącznie, suma ich wspólnych i specyficznych dążeń. To dlatego Lec zachwala „takt płciowy” (643). Warto zauważyć przy tej okazji, że nowoczesny spór natywizmu antropologicznego z empiryzmem dotyczy jedynie płci, sumienia i antysumienia. Lec jest w tym sporze natywistą potrójnym.

**2.3/ Paulinizm.** Padają u Leca słowa niby z Sartre’a czy Heideggera, a w istocie z Platona i Arystotelesa: „Koegzystencja wyprzedza egzystencję” (633). Obok sensu powierzchniowego – znowuż prokreacyjnego – myśl powyższa niesie też głęboki: człowiek jest istotą społeczną – niegotowy przychodzi na świat w gotowej społeczności, a ta go urabia na swoją modłę. Niekiedy pięknie, a czasem szpetnie; zależy jaka modła i jaki trzon osobowości. Generalnie od poziomu wpajanych wzorców za-

leżą zachowania osobowe, wedle reguły: „Czym niżej opuszcza się światło, tym dłuższe nasze cienie” (465).

Jak wysoko światło ustawione to już sprawa, rzecz można, łaski Bożej. Nauczał św. Paweł, że nie ma zbawienia bez dobrej wspólnoty; że w pojedynkę albo w byle jakiej gromadzie nikt dobra realizować nie zdoła. A zwykle ludzie lgną do swoich, bezwiednie, siłą obiektywnego ciężenia. Czytamy o tym: „Nawet gwiazdozbiory nie są wolnymi zrzeszeniami gwiazd” (210). Tworzymy także takie zrzeszenia, lecz przede wszystkim podlegamy kolektywom samorodnym – osoba zostaje przez życie włączona do wspólnoty. Konsekwencje tego zasadniczego antropologicznego faktu Lec tak ujmuje: „Życie zmusza człowieka do wielu czynności dobrowolnych” (179).

Wielość wspólnot w świecie sprawia, że każda, choć w rozmaitych zakresach, musi się integrować i dystansować od obcych. Autor pokazuje apogeum tego zjawiska: „Ideał: jedność jednostek” (588).

Lec – jak Ludwik Gumplowicz (i św. Augustyn, rzecz jasna) – zdawał sobie sprawę z tego, że wspólnoty muszą być zantagonizowane i walka między nimi nigdy nie ustanie. Dlatego powiada, niby po marksowsku: „Czy wierzę w «walkę klas»? Żarliwie. W permanentną” (595).

Wspólnoty różnią się stylem myślenia i stylem życia, próbując wciąż narzucać je sobie nawzajem. Walka fizyczna i o dobra materialne jest jedynie instrumentem walki duchowej. Dlatego, czytamy: „Gdy mit zderzy się z mitem, jest bardzo realne zderzenie” (12). I dalej mówi się podobnie, o życiu społecznym przeciw: „W walce idei giną ludzie” (57). „Zdania są zwykle podzielone – między silnych” (77).

Otóż w życiu społecznym nie moje zdanie się liczy – choćbym był Arystotelesem – tylko wola realnych, kolektywnych sił. Należy się przyłączyć do niegorszych, gdyż bierność gorsze promuje. Nie licząc cywilizacji, ze wszelkich wspólnot najpotężniejsze są narodowe. To za ich sprawą bezustannie toczą się wojny między państwami: militarne bądź polityczno-gospodarcze. W jednych i drugich chodzi o dominację kulturową. Autor trzeźwo rzecz ujmuje: „Miłość ojczyzny nie zna granic cudzych” (80).

Niekiedy wprawdzie patriotyzm wyradza się w swoje bezkulturowe zaprzeczenie. Przykłady są znane: „Ów naród żył jedną myślą, co podzielone przez jego liczbę, pozostawiało niewiele w głowie jednostki” (245). W czasach pokoju natomiast państwa przeciw sobie spiskują, co jest rzeczą normalną. Czyż nie to wyraża myśl poniższa? „Są znaki na niebie i ziemi, ucz się rozpoznawać ich przynależność państwową” (267).

Gdyby było inaczej, byłoby wszak gorzej. Czytamy o tym: „Czy będzie jeden wszechświatopogląd?” (465). Kwestia nie dotyczy kosmologii, a pewnej idei Stalina, także Russella i Kotarbińskiego. Lec ją odrzuca (podobnie jak Elzenberg): „Prawdziwe szczęście jest bezgraniczne, nie może więc znajdować się w jednym państwie” (568).

Wewnątrz państw także toczy się bezpardonowa walka: pomiędzy wspólnotami innego niż naród rządu – różnych wiar. Reprezentują je partie polityczne, służąc w istocie interesom własnego i innych narodów. Służą innym często bezwiednie, wiara jest ślepa. Dlatego walka polityczna jest zasadniczo bezkompromisowa, nawet ze strony tych, którym chodzi o dobro wspólne. Czytamy, co w każdej epoce prawdziwe: „Polityka: wyścigi koni trojańskich” (277).

Polityczny kompromis – symbolizowany przez cenne, bo bezkrwawe ‘okrągłe stoły’ – oznacza jedno. Wyraża to następująca sentencja: „Nasze punkty widzenia pokrywają się. Idzie tylko o to, który który pokrywa” (74).

Czy Lec był demokratą? Są argumenty za tym przemawiające. Powiada on, między innymi: „Czy zagadnienie władzy jest jedynie zagadnieniem władzy?” (509). „Wszyscy chcą naszego dobra. Nie dajcie go sobie zabrać” (260). „Walczmy o samorząd, nie o samorządców” (547).

Zdając sobie sprawę z nieodzowności silnego państwa, czyli odpowiedniej dozy represyjności, pyta retorycznie: „Czy fundamenty państw muszą zawsze być budowane w podziemiach?” (275). Muszą, choć ze wszystkich form ucisku najmniej zła przynosi demokracja. Demokratyczne rządy zasadzają się natomiast na wolności słowa i krytycyzmie. Konstatuje Lec: „Przemoc argumentów – argumenty przemocy, dwa style” (285). Tylko pierwszy z nich jest demokratyczny.

Koniecznym warunkiem demokratyzmu jest duchowa ofensywa, odwaga głoszenia poglądów własnych, o której czytamy: „Z walki myśli rodzi się pokój człowieka” (517).

I wolność, i krytycyzm są zaś wytworem równowagi między władzami duchową i świecką, wynikiem rozdziału Kościoła od państwa. Zrośnięte, jak na Wschodzie, prowadzą do tyranii, zmarginalizowane zaś chrześcijaństwo współczesnego Zachodu – do anarchii i społecznej atrofii. Nadmiar wolności, także obyczajowej, przeradza się w swoje zaprzeczenie. Niby to oczywiste, a jakie odkrywczę: „Wolność powinna mieć swoje granice” (252). Rozdział to równowaga, w tym tkwiła dotąd wielkość Zachodu.

Lec uznaje wolną wolę. Dopuszcza mianowicie konwersję, osobowe przejście od wspólnotowego stylu A do stylu B, co jest właściwym wyrazem metafizycznej wolności. Rzecz tak uchwytuje: „I głos sumienia przechodzi mutację” (54). Mutacja tego rodzaju ma charakter społeczny, co widać po jej rozmiarach: „Rzadko kto zmienia przekonania, zmienia się ideologie” (397).

Zmiana może iść od dobra do zła bądź na odwrót. Oprócz czyichś predyspozycji decyduje o tym atrakcyjność „nowych nadziei”. A one, tak jak i szerzące je wspólnoty eschatologiczne, bywają spolegliwe albo szalbiercze – w zależności od przywódców. Rezultaty żarliwości wyznawców są dwojaki: „Z żaru zostaje popiół lub dzieło” (259). O wspólnotowym szalbierstwie czytamy zaś: „Powinniście wszystko znośić ze stoickim spokojem!” – radzą najczęściej, o dziwo, cynicy” (232). W dzisiejszej Europie wciąż znosimy. A oto drugi przykład: „Zanurzyłem się raz w optymizmie. Ledwie mnie odratowano” (389).

Zasadniczo sprawy mają się jak niżej (o ile przez politykę rozumieć tu życie społeczne): „Z czego powstałeś, zależy od genetyki – w co się obrócisz, od polityki” (223). Wspólnotowe szalbierstwo przybiera jednak coraz bardziej wyrafinowane kształty, nieczytelne dla miłośników wolności jednostki. Leca ono nie zmyliło, skoro mówił: „Zanika rękodzieło. Nawet w zbrodni” (240). „I diabły wiedzą już o uspołecznieniu współczesności, nie chcą zawierać paktów z osobami prywatnymi” (264). O diabłach traktuje osobny dział rozważań.

**2.4/ Manicheizm.** Są u Leca myśli wyglądające na satyrę. Weźmy takie cztery: „Idź ku człowiekowi, nie daj się zająć od tyłu!” (247). „Nie ufaj swemu sercu, łaknie twej krwi” (261). „Uważaj, żeby nie chwyciło cię za gardło czyjeś wzruszenie” (54). „Ja? Kocham człowieka!!! Chodzi tylko o jego definicję” (464). Nie krytyka czy szyderstwo z nich wyziera, ale antropologiczny pesymizm. W ludziach godne miłości jest jedynie człowieczeństwo (o taką definicję chodzi w przytoczonym zdaniu), poza nim istnieje wszak antyczłowieczeństwo. Autor nie ma złudzeń co do optymistycznych ideologii współczesności, które ten fakt maskują: „Kiedyś ludzie będą sobie braćmi i zaczną z powrotem od Kaina i Abła” (354).

A oto uzasadnienie: „Adam i Ewa dali początek masowej produkcji ciała ludzkiego, ale Abel i Kain duszy” (516). Istnieją bowiem, co wiadome od ewangelisty (Mt 13, 36-43), dusze „z dobrego i ze złego nasienia”. Lec uznaje rdzeń mazdejski w judaizmie i w chrześcijaństwie: ideę Arymana – ciemnego ducha, ojca kłamstwa. (Nazwijmy ten pogląd manicheizmem). Trzeźwo ją doprecyzowuje: „Pamiętajcie o tym, że jeśli diabeł chce kogoś kopnąć, nie uczyni tego nigdy swym końskim kopytem, lecz swą ludzką nogą” (8).

Poza wszelką mitologią leży zatem odpowiedź na starożytne pytanie *Unde malum?*: zło, moralne, bierze się nie z zewnątrz, a ze środka. Czytamy: „Przestałem być sceptykiem – uwierzyłem w istnienie immanentnego zła” (248). A sceptyków dziś legiony, mimo że: „Od czasów potopu świat omywa się jedynie krwią” (416).

Nie tłumaczy tego faktu, zdaniem Leca, ani głód, ani brak wykształcenia, ani choroba. Sceptykom odpowiada on: „Głupota jest matką zbrodni. Ale ojcowie są częstokroć genialni” (10). Nikt głupi nie wymyśliłby – i nie zastosował! – komór gazowych dla sześciu milionów Żydów. O owych „ojcach” można przeczytać: „Są urodzeni mężowie stanu – wyjątkowego” (67).

I więcej: „Kto nie ma sumienia, musi kompensować to jego brakiem” (57). Brak sumienia bowiem to nie jest poziom zero – zwierzęcy – ale poziom ujemny, antysumienie, jak u *malos* św. Anzelma. W tym sensie: „Gdyby zwierzę zabiło z premedytacją, byłoby to ludzki odruch” (99).

Wpływ wspólnoty na zachowania osób jest faktem, o decyzji działania decyduje wszak „nasienie”: „Granice nieba i piekła są płynne, ale zawsze przechodzą przez nas” (627). Te nieliczne w sumie, choć o potężnej wymowie wersety, autor uznaje za głos wołającego na puszczy. Mówi: „Kto się odważy na «Krytykę brudnego rozumu!»” (431). Próbowali Augustyn, Anzelm, Luter, Kalwin, Pascal, Edwards (jego *Original Sin* z 1757 r. to przecież taka „Krytyka”), Dostojewski, Schopenhauer, a po II wojnie światowej – Miłosz, Lem i Wolniewicz. Do tych odważnych, a niesłuchanych, należy też Lec.

**2.5/ Filozofia religii.** Nie powinno dziwić jak wiele głębokich myśli o religii sformułował ten niewierzący; podobnie było z Constantem, Schopenhauerem czy Elzenbergiem. Niewierzący nie znaczy negujący istnienie Boga, więc ateista. W nie do końca żartobliwym wersie czytamy: „Czy jestem wierzący? Bóg jedyny raczy wiedzieć” (70).

Niewierzący, ateista i człowiek niereligijny to różni ludzie. Pierwszy nie uznaje jedynie wszystkiego, co głosi Kościół (albo religia, z jego punktu widzenia, tradycyjna); drugi to już wyznawca wiary, która tradycyjną zastąpiła, pozostając wszak z tamtą w wielu punktach styczną. O takich wyznawcach powiada Lec: „Ateiści mówią o czasie «po narodzeniu Chrystusa» – «nasza era». Dziwne” (664). „Bezbożnicy to ludzie wierzący, którzy nimi nie chcą być” (489). „Jedni wierzą, że wierzą, drudzy wierzą, że nie wierzą” (593). Identycznie stawiał sprawę dwieście lat temu Joseph de Maistre<sup>8</sup>. Inaczej jest z ludźmi niereligijnymi. Czytamy oto myśl następującą: „Nie ma prawie ateistów, któż nie wierzy w siebie?” (601).

W siebie wierzy każdy, lecz kto wyłącznie w siebie, ten jest całkowitym nihilistą. Tacy się zdarzają, nieliczni, i są to ludzie bez religii w ogóle – „rzadkie ptaki” (wedle słów Miłosza). Żadne spośród niezliczonych religijnych szat nie są dla nich. A religie zmieniają szaty, to znaczy rodzą się i umierają rozmaite formy religijne; w miejsce starych przychodzą nowe. Czytamy o tym: „Wszyscy bogowie byli nieśmiertelni” (57). „Żaden Bóg nie przeżył straty wiernych” (481).

---

<sup>8</sup> „(...) Pycha wierzy, że nie wierzy”. J. de Maistre: *Wieczory petersburskie*, przeł. M. Bucholc. Warszawa 2011, s. 37.

Wierni przystają bowiem do bogów nowych, a większość populacji jakichś czci. Tak było, jest i będzie – zdaniem Leca – albowiem: „Wszyscy bogowie są spokrewnieni ze sobą przez człowieka” (580).

Religia wyrasta z natury ludzkiej. Autor precyzyjniej jej źródła nie wskazuje, wywody jego nie kłócą się wszak z Schopenhauerem – wedle którego wiara bierze się z pewności śmierci. Ma ona dostarczać eschatologicznej nadziei, także ateistom ich własna. Pisze Lec: „Wiara działa cuda. Na zasadzie wzajemności” (631).

Dzięki wierze ludzie są silni, gotowi życie własne poświęcić dla sprawy. Ale sprawy bywają różne, cuda czynią je atrakcyjnymi. Właśnie dlatego cuda cudom nierówne. Czytamy: „Łatwowiecy – cóż za groźna sekta!” (233).

Człowiekowi współczesnemu, ze względu na jego warunki życia, nadziei eschatologicznej masowo dostarcza czysta mitologia, poza jakimkolwiek rygoryzmem moralnym. Doszyta do wiedzy naukowej, paradoksalnie obraca się w nowy fideizm – nie obskurancki, tylko *empirystyczny*. Przykładem wiara w postęp – czy to w liberalnej, czy socjalistycznej odmianie. Słowa poniższe wielu i dziś się nie spodobają: „Istnieją mistycy racjonalizmu” (454). „Widziałem ten seans racjonalistów wywołujących Ducha Postępu” (504). „Gdy krzykną: «Niech żyje postęp!» – pytaj zawsze: «Postęp czego?»” (68).

Otóż związek religii z moralnością jest przypadkowy, bywają moralne i amoralne religie. Pierwotnie istniały tylko bezwyobrażeniowe, następnie, wraz z językiem, pojawiły się mitologiczne, dopiero zaś u progu cywilizacji – religie soteriologiczne. Te ostatnie symbolizuje Dekalog. I w tym punkcie Lec jawi się jako wierzący (w sensie mocniejszym niż deizm): wierzy w to, w co i Kościół – w absolutny porządek moralny, po chrześcijańsku ujmowany. Jak inaczej pojąć myśl poniższą? „«Nie zabijaj!» – w Dekalogu – brzmi jak napomnienie, a jest przecież odkryciem!” (74). Ogólnie zaś autor tak powiada: „Grzechy różnią się obrządkiem” (553).

W różnych liturgiach bowiem piętnuje się inne grzechy, tym bardziej w odmiennych wiarach. Oto przykład skrajny: „Jedne religie czciły męczenników, inne katów” (683). To ze względu na nieobecność idei

zbawienia u wiernych padają słowa: „Boję się laickich religii. Tam i Bóg jest laikiem” (656).

O kulcie zaś w religiach soteriologicznych znajdujemy następujące słowa, które nie muszą świadczyć o ‘niewierze’, czyli rozmijaniu się z Kościołem: „Prawdziwy Bóg jest Bogiem, nawet gdyby nie istniał” (423). Powiedziane jak u Kanta. W tymże duchu mówi się też: „Można zmienić wiarę, nie zmieniając Boga. I odwrotnie” (42).

Owo „odwrotnie” widać dziś dobrze w postępowym chrześcijaństwie. „Odwrotność” przyjmuje też niekiedy postać radykalną, zarysowaną w zdaniu: „Najwierniej podtrzymują mity – najmici” (23). Otóż bywają religijni szalbierze, *Wielcy Inkwizytorzy*: choć uduchowieni, to bez religii; posługujący się jedynie religią, nie dla interesów nawet (to domena słabej wiary), lecz dla realizacji ciemnych zachcianek. Lec mówi o nich: „Istnieją również perfideiści” (61). *Sola fide*, tylko przez wiarę – oto ich hasło dla wyznawców; przywódcy dzięki samej wiedzy mogą wówczas urzeczywistnić, co chcą – włącznie z Auschwitz i Gułagiem.

**2.6/ Filozofia kultury.** W filozofii kultury Lec staje w jednym szeregu z takimi myślicielami jak Scheler (*Resentiment a moralność*), Bierdiajew (*Filozofia nierówności*), Ortega y Gasset (*Bunt mas*) czy Elzenberg (*Nauka i barbarzyństwo*). Jest pesymistą, mówi bowiem jak tamci: „Świat idzie ku lepszemu, ale ku czemu idzie to lepsze?” (576).

Oto ich wspólna diagnoza: w XX w., po dwóch wojnach światowych, kultura Zachodu (chrześcijańska) znalazła się w głębokim kryzysie. (Zachód jest tu miarą kultury w ogóle, a obie wojny owego kryzysu wynikiem). Kultura zaś jako taka to ogół arcydzieł (wartości perfekcyjnych w sensie Elzenberga) oraz wzorców zachowań (instytucji w sensie Gehlena) – wielkim wysiłkiem pokoleń wydzwigniętych ponad przyrodniczą naturę człowieka. Weźmy wpierw arcydzieła. Na przykładzie sztuki Lec obiektywistycznie i absolutystycznie ukazuje ich naturę. Oto dwa najbardziej wymowne w tej kwestii wersety: „Sztuka nie wymaga od artysty talentu, ale dzieł” (273). „Proporcje piękna są proste – 100 procent” (300).

Wymagana „stuprocentowość” we własnej profesji postrzegana jest następująco (co także do innych dziedzin arcyzmu adekwatne): „Jak



najmniej wyrazów, jak najwięcej wyrazu” (505). Jest dla Leca oczywiste, że elitarny charakter przysługuje twórczości zarówno po stronie wykonawców jak i odbiorców. Tak o tym pisze: „Czy można na siłę tworzyć genialne rzeczy? Tak, trzeba tylko mieć tę siłę” (115).

„Czy sztuka ma być zrozumiała? Tak, ale tylko dla adresatów” (159). Zgodne to z autora natywizmem, a wymierzone w szerzący się egalitaryzm. Obyczaje demokratyczne nie dają się bowiem przenieść z obszaru polityki na teren twórczości. W tej ostatniej obowiązuje zasada: „Ludzie nie mający ze sztuką nic wspólnego – nie powinni z nią mieć nic wspólnego. Proste?” (71). Nie o wykluczanie jednych przez drugich tu chodzi, ale o nieustępowanie przez samych siebie pola rozrywce, kosztem szlachetności. I o nienarzucanie przez pospolitych kroku wybrednym.

Kanon arcydzieł utrwała się w społeczeństwie dzięki obecności zwolenników tychże w kolejnych pokoleniach. Nie muszą to być stronnicy masowi, wystarczą nieliczni, ale stale generacyjnie powiązani. Sytuację tę tak Lec rysuje: „Myśl jest nieśmiertelna, pod warunkiem, że się ją ciągle na nowo rodzi” (190).

Otóż pospolici byli dumni przez wieki z Mickiewiczów, choć sami się w nich nie rozsmakowywali. Niczego lepszego oczekiwać nie można. O ich dumie decydowali decydenci. Socjalizm (realny) tych ostatnich „wymienił”; czyni to również syte społeczeństwo liberalne – w jego władzach odbywa się selekcja negatywna. Przy powszechnym dostępie do Szekspirów i do pornografii zawsze wygrywa ta ostatnia, o ile państwo i Kościół się temu nie przeciwstawiają; o ile nie jest chroniona autonomia najlepszych – w rodzinach, szkołach, uczelniach, redakcjach.

O mających fundamentalne znaczenie wzorcach – składających się na kulturę, w następujący sposób, jakby od niechcienia, powiada Lec: „Kultura rozciąga się również na podejście do niej” (599). „Podejście” ważniejsze jest od wszelkiego dekretowania, co widać na załączonym przykładzie: „Pokolenia dziedziczyły pocałunek – drogą tradycji ustnej” (484).

Podobnie z zakazami kanibalistycznym i kazirodczym, były powszechnie praktykowane. Analfabetyzm nie był w tym przeszkodą. Dziś barierę dla honorowania norm stanowi masowa piśmienność. Posłu-

chajmy: „Głupi są coraz mądrzejsi, mądrzy są coraz głupszy, a mimo to odległość między nimi wciąż wzrasta” (594). Jak to możliwe? Otóż pierwsi masowo otrzymują wykształcenie, co nie zmienia wszak ich pospolitej natury, zmienia zaś ich status społeczny. Dlatego autor mówi: „Kocham analfabetów za to, że nie są ćwierćinteligentami” (448).

„Mądrzy” zaś podlegają współcześnie pauperyzacji – nie tyle nawet uboższą materialnie, co tracą na znaczeniu; co maleją ich szanse. To o nich: „Hamlet dziś: być nie będąc czy będąc nie być?”. Nie o ‘być czy mieć’ toczy się obecnie bój w duszach Hamletów, lecz wpływy czy wierność (wybrednym). Wabieni są bowiem hasłem: „Obniżył lot i znalazł się na Parnasie” (264).

Kiedy wykuwane przez tysiąclecia wzorce zachowań kruszeją, przestaje przybywać arcydzieł, eksploduje natomiast rozrywka. W cywilizacji Zachodu tkwią trzy grupy wykutych wzorców, stanowiących dotąd o jej wielkości: po pierwsze racjonalizm – kulminujący nauką, po drugie wiara chrześcijan z jej moralnością i obyczajnością, po trzecie prawo rzymskie. Wszystkie one od XX wieku się chwieją. Przyczyną jest duch antropocentrycznego humanizmu, potęgowany „buntem mas”, egalitaryzmem. Racjonalizm ucieleśniony w naukowym poglądzie na świat cofa się, zastępowany przez specyficzny, empirystyczny fideizm. Prawda w nauce broni się tylko dlatego, iż bez niej stanęłaby technika. Co zaś nie jest techniczne, może, a nawet winno być irracjonalne. Powyższe tłumaczy dwie następujące konstatacje: „Dziwna druga połowa XX wieku. Półwiecze astronautów i astrologów” (571). „Żyjemy w epoce łupanego atomu!” (602).

Lec powiada ponadto: „Nauka potwierdza nasze fałszywe wyobrażenia” (511). A to może być podwójnie nawet rozumiane: że z dowolnych bredni formalnie wynikają prawa nauki; że najnikczemniejsze cele mogą być naukowo wspierane. Na zjawisko ostatnie znajdujemy akuratne określenie: „czynizm” (633).

Prawda przestaje stać w szeregu wartości naczelnych – jako magnes ciągnący myśli do pęczniejącego zbioru zdań prawdziwych. Miejsce jedynej wartości naczelnej usurpuje sobie człękokształtne życie – w istocie przyjemne życie indywidualne każdego. Stanisław Lem, zgodnie z Lecem, w 1976 r. mówił o tym dosadnie: „wiara w realizowalność

Fajnego Lekkiego Łatwego Życia z mordą w śmietanie”<sup>9</sup>. Ten monocentryzm *świętości życia* rujnuje też, niezgodną z nim, wiarę chrześcijańską. Chrystianizm zastępują „fanatycy relatywizmu” (586); nastaje „epoka entuzjazmu dla obojętności” (582). Widać to dziś w ideologiach *multi-kulti* oraz *gender*; w nihilizmie *politycznej poprawności*. Oto krótka charakterystyka czasów postchrześcijańskich: „Dążymy do syntetycznego wytwarzania antytez” (288).

Lubujemy się zwłaszcza w gremialnym opluwaniu chrześcijańskiej tradycji i minionej wielkości Zachodu. Kult życia niszczy, w końcu, tradycyjną rzymską jurysprudencję i społeczne poczucie sprawiedliwości. Poniższe myśli odnoszą się przeciw do uwiądu prawa: „Wolność, równość, braterstwo – jak dojść do czasowników?” (518). „Rząd szubienic – żadna gra słów” (541). Jest jak w pismach de Maistre’a: kiedy likwiduje się karę główną dla morderców, stają rzędy samosądnych szubienic albo rządy szafujące szubienicą.

W *Myślach nieuczesanych* autor przedstawia liczne wynaturzenia ‘kultury popularnej’, czyli kultury Zachodu trawionej kryzysem (nie tylko karłowatość rodem z PRL i ZSRR). Mówi o narastaniu barbarzyństwa: o „trogloerudytach” (435), „dogmatolach” (491), „aforzystach” (474) i „marksymalistach” (399) z jednej strony, także o „konformalizmie” (469) i „doktorach tautologii” (394) – z drugiej. Pierwsi reprezentują „czynizm”, drudzy eskapizm – szukając precyzji w marginaliach. Czytamy o tym, scjentyistycznym zwłaszcza, nastawieniu: „Snem niektórych jest doprowadzić słowo do takiej perfekcji, by straciło znaczenie” (572).

Portretuje Lec dominację pospolitości w intelekcie i charakterze. Padają słowa sławne jak poniższe: „Za taniochę ludek chętnie drogo płaci” (69). Słowa dotyczą natury ludzkiej, chociaż w XX w. wskazane zjawisko uwydatniło się monstrualnie. A oto jego konkretny, dzisiejszy przykład: w listopadzie 2015 r. w księgarni im. B. Prusa w Warszawie na *Traktat* Wittgensteina po angielsku trzeba było wyłożyć 80 zł, a na książkę Freuda, tej samej objętości i tego samego wydawcy – 170. Można by przeciw o tym ostatnim autorze rzec: „Ukrywał się za języ-

---

<sup>9</sup> S. Lem: *Sława i Fortuna. Listy do Michaela Kandla, 1972-1987*. Kraków 2013, s. 529.

kiem, który pokazywał światu” (59). Ale można i dosadniej: „Myślicie, że ten autor mało dokonał? Obniżył poziom ogólny!” (119).

Takiego wyczynu nie mógł sprawić byle kto, a tylko twórca idei nosnych, acz trujących – jak Nietzsche, Freud, Husserl i Heidegger. Nie bez kozery pisano już dawno o „klątwie i małpach Zaratusztry” (Jaspers). Nie znaczy to, że u wymienionych sław nie ma krztyny ziarna; znaczy, że jest nadmiar plew. I na te plewy biorą ludzi równie sławni naśladowcy tamtych, których nie sposób już zliczyć. Dlatego o każdym z czterech ojców hermeneutyki, czyli namaszczonego werbalizmu, wolno rzec: „Stworzył szkołę nieuctwa” (460). Nie byłoby wszak takich ‘szkół’ bez rzesz wygłodniałych ewokowania i nobilitacji adeptów, bez ‘żądzy bełkotu’. Mechanizm rozprzestrzeniania się idei bez ich związku z prawdą uchwycony został następująco: „Niewypał myśli zależy również od głowy, w którą trafia” (78).

Legiony głów otwartych na „niewypały” tłumaczą popularność filozoficznych i artystycznych idoli, zwłaszcza tę niebotyczną niektórych. Dlatego, czytamy: „Można być wirtuozem fałszywej gry” (72).

Bywa też odwrotnie – zdarza się elitarny kiks ideowy, ‘wyższa szkoła jazdy’. To o nim stoi napisane: „Jest rodzaj geniuszy, których odkryć potrafią jedynie geniusze” (273).

W tym przypadku Lec kpi, bowiem geniusz to głębia, nie sama ciemność. A głębię i ciemność inaczej się mierzy. Sprawę rozjaśnia paradoks: „Znaczenie myśli głębokich leży na powierzchni” (537).

Można też przeczytać u Leca o płaskości – o płaskich wizjach świata mianowicie, jakich dostarczają głównie środki masowego przekazu, od geniuszu zupełnie oderwane. Poza chwalebny informowaniem o faktach zwykle sączą one treści ideologiczne, megauproszczenia w poglądzie na świat, deformując umysły czytelników. W tym sensie, mówi autor: „Prasa uciska” (309). Do szczególnie szkodliwych w tym zakresie instytucji czy tytułów można odnieść słowa: „Dom publicystyczny” (497). W repertuarze takich ‘domów nierządu’ mieści się choćby ostracyzm – bojkotowanie osób wybitnych i spraw cennych, zwłaszcza wybitnych i cennych z punktu widzenia własnego narodu. Rzecz tak została ujęta: „Wyższy rodzaj klaki: ci, którym płacą za nieklaskanie” (104). Emblematycznym przykładem ofiary nieklaskania, także wydawnicze-

go – od ćwierćwiecza – może być Tadeusz Kotarbiński. Czy jego (wspólny z Lecem) rok jubileuszowy – 2016 – to zmieni? Uogólniając, rzec można, iż w miejsce tradycyjnych wchodzą kulturowe wzorce nowe, w sposób zaś niezmienny od paleolitu: „Tabu, mimo że nietykalne, rozmnaża się zastrasżając” (154).

Jednym z największych zagrożeń dla kultury jest to, o czym później, wielokrotnie pisał za Lecem Lem. Jakby w soczewce uchwycone, brzmi ono: „Grafomania będzie rosnać z ułatwieniami technicznymi notowania bełkotu” (348). Taki, w oczach Leca, jest człowiek.

**3. Teologia racjonalna.** Metafizyka nieskończonego bytu rozumnego, inaczej niż teologia dogmatyczna, adresowana jest nie do kręgu jakiejś konfesji z jego uczuciami, ale do każdego intelektu. O Bogu można bowiem sensownie myśleć, bez sprzeczności. Czytamy: „Zubożają istotę Boga, uważając go jedynie za fakt, a nie za genialną ideę!” (514).

Choć tezy wszelkiej teologii nie są ani prawdziwe, ani fałszywe, gdyż nie tykają faktów, nie mają korelatu semantycznego w tym świecie<sup>10</sup>, to cechuje je elegancja bądź niechlujstwo. Trzy myśli teologiczne Leca wyjątkowo są wytworne. Nie samo mówienie o Bogu jest w nich śmieszne, ale tego mówienia literackość. Mogą wszak być te aforyzmy inkorporowane do racjonalnego systemu teologicznego, a wtedy śmieszność znika. Oto pierwszy, będący najkrótszym rozwiązaniem teodycei: „Bóg nie jest aniołem” (380).

Na starożytne pytanie jak pogodzić nieskończonego w rozumności, sprawiedliwości i mocy Stwórcę z istnieniem zła (fizycznego, a osobno moralnego), odpowiedź brzmiałaby: przez odrzucenie ludzkiej kategorii dobrotliwości. Istnienie Boga z istnieniem zła związane są logicznie, choć to nieskończona logika. O złu jako wiecznym Przeciwniku Boga powiada się zaś tradycyjnie, co Lec jedynie z szykiem wyraził: „Siła szatana polega na jego anielskiej cierpliwości” (597). Oryginalna jest natomiast myśl dotycząca obecności w nas pierwiastka Bożego. Przytaczamy ją bez komentarza (sugerując tylko, że komponuje się z Leca

---

<sup>10</sup> Tezy dotyczące przyszłości też nie mają i też są sensowne.

wyszukaną antropologią): „Bóg stworzył nas na podobieństwo własne. Skąd wiemy, że był realistą?” (403).

**4. Epistemologia. Logika jako narzędzie poznania.** O. Bocheński odróżniał w obrębie epistemologii stanowisko umiarkowanego racjonalizmu, zgodnie z którym obok intuicji ważną rolę poznawczą odgrywa rozum i zmysły<sup>11</sup>. Byłby to także, najkrócej ujęty, Leca pogląd z zakresu teorii poznania. Rozum teoretyczny to przede wszystkim wrażliwość logiczna, a ta jest w *Myślach nieuczestnych* niezrównana. Logika wiąże intuicję z empirią, chroniąc od raf sensualizmu i fideizmu. Nacisk na logikę, czyli *tendencję jasnościową*, wziął Lec z wielkiej szkoły lwowsko-warszawskiej, w której kręgu częściowo pozostawał, podobnie jak Miłosz i Lem. (Częściowo, gdyż obca była mu jej filozofia społeczna, nad którą przedkładał wpieryw socjalizm, potem pesymizm). Owa szkoła wzbudzała drgania, on rezonował. Jakkolwiek jego dusza była w tym spektrum rezonatorem doskonałym, zapewne bez *twardowszczyków* nie byłoby Leca.

Każda filozofia, która o świecie coś mówi, stać musi na wierze. Uzasadniać nie można w nieskończoność. Autor odważnie wyznaje swoją wiarę: „Podstawą racjonalizmu jest wiara w rozum” (483). Taka opoka różni go od scjentyistów (w tym *twardowszczyków*), dla których formuła powyższa musi brzmieć paradoksalnie, choć reprezentują kult rozumu. Ich kult bowiem jest przedsiolkowy, w głównej nawie panuje zaś u nich defetyzm. Dlatego o scjentyście da się powiedzieć: „Jego logika nie kuleje, ale ma platfusy” (295).

Inaczej u Leca: wiara w rozum oznacza ufność w jego możliwości, włącznie z ryzykiem sięgania największych tajemnic; oznacza metafizykę. Myślenie powiązane jest bowiem z Bytem zasadniczo, logiką właśnie. Ona stanowi szkielet: i języka, i Bytu. Po Wittgensteinowsku autor powiada: „Kontekstem słowa jest świat” (306). I kolejny werset jakby z *Traktatu* został wzięty: „Myśl się nie dezaktualizuje, jedynie świat, do którego się odnosi” (640).

Byt bowiem to coś od świata szerszego i coś sztywnego, a to z Bytem skorelowana jest myśl. Odnosi się ona do ogółu możliwości,

---

<sup>11</sup> J. Bocheński: *Zarys historii filozofii*. Kraków 1993, s. 214.

a skoro świat jest realizacją części z nich, to: „Światu grozi interpretacja” (438).

Jako dążenie do prawdy jest próbą odpowiedzi na pytanie „realizacją jakich możliwości jest świat?”; interpretacja polega na odwzorowaniu świata w języku. Ponieważ kolejne możliwości wciąż się w świecie spełniają, a nie nadążamy z ich opisem, można rzec: „Nasza niewiedza sięga coraz dalszych światów” (80). A z drugiej strony, powiada autor: „Fantazja zwięża się o rzeczy poznane” (590). Żart polega tu na tym, że mimo lawiny odkryć – naukowych i artystycznych – niewyrażone pozostaje nieskończone; ukryty zaś w aforyzmie smutek – że to nie nauka i sztuka się kończą, ale cywilizacja.

Leca zajmuje przede wszystkim świat ludzki, choć nie antropocentryczny. Dlatego pisze on tak: „Nie jestem ani zwierciadłem wklęsłym, ani wypukłym, staram się być idealnie gładką taflą lustra, by ludzie mogli się w niej przeglądać w nieubłaganym realizmie bez psychologicznej bonifikaty” (513). Lustrzane odbicie to nigdy nie będzie – szczegóły, a nawet kontury obrazów zawsze się w języku rozmywają – ale jakieś odbicie tak. Jego ‘zgodność z oryginałem’ zwiemy prawdą. Lecz co jest tu w istocie zgodne z czym? Otóż zdanie (po stronie myśli) z faktem (po stronie obiektywnego świata). To dlatego Lec cudownie powiada: „Zdanie – to największa forma literacka” (295).

To forma najmniejsza możliwa – atom sensu – i dlatego najważniejsza. To z jakich atomów zbudowane są większe całości przesądza o jakości tych ostatnich. Weźmy przykład: „Wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne, każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój sposób”. Oto zdanie – w dodatku pierwsze – z *Anny Kareniny* Lwa Tołstoja<sup>12</sup>. Nic dziwnego, że po jego przeczytaniu nie można się już od książki oderwać. Mówi wprawdzie Lec: „Każde słowo jest myślą; nie sposób tego powiedzieć o każdym zdaniu” (280). Znaczy to wszak, że bywają głupie zdania, a bezsensowne słowa nie; słowa są zawsze potencjalnymi składnikami zdań sensownych. A co do zdań głupich, czytamy w *Myślach nieuczesanych*: „Współzycie słów zna wszelkie perwersje seksualne” (403). Nie chodzi o fałsze, bo one są sensowne. Chodzi o

---

<sup>12</sup> L. Tołstoj: *Anna Karenina*, przeł. K. Iłłakowiczówna. Warszawa 1984, t. 1, s. 7.

coś, co w ten sposób zostało uchwycone: „Prócz myśli istnieją jeszcze odruchy intelektualne” (300). Istnieją mianowicie wytwory myślopodobne, o charakterze odruchów właśnie. One tłumaczyłyby następującą konstatację: „Obserwujemy ciekawe zjawisko: bełkot jako środek porozumiewawczy między ludźmi” (81). I w następnym, jednym z najsłynniejszych aforyzmów Leca, znajdujemy myśl podobną (rozwijał ją, między innymi, znów Stanisław Lem): „Dwie siły potężnieją w świecie intelektu: precyzja i bełkot. Zadanie: nie należy dopuścić do narodzin hybrydy – precyzyjnego bełkotu” (145).

„Świat intelektu” należy rozumieć jako sferę mowy, życie werbalne; bełkot nie ma z intelektem nic wspólnego. A czym jest? To dla Leca jasne: „Etymologia? Wszystkie wyrazy pochodzą od tego pierwszego wycia” (404). Pochodzą w sensie wspólnego, zoologicznego aparatu artykulacji. I tylko tyle. Istniejemy 200 tys. lat, ale dopiero po 2/3 naszej gatunkowej bytności uruchomiliśmy język. Nagle, choć pewnie był i protojęzyk. Wcześniej – tylko „wycie” czy bełkot. W tym sensie, mówi Lec: „Nikt nie umiał wprawdzie milczeć niż mówić” (613). Zwierzęta nie milczą, a tylko my – co bywa „złotem”. Czytamy, niczym w tezie 7. *Traktatu* Wittgensteina: „Komu język posłuszny, ten często milczy” (262).

Otóż trwaliśmy przez długie tysiąclecia „w analfabycie” (583) – z bełkotem jedynie, to jest posługując się zwierzęcym, życiu służącym kodem. I ten bełkot pozostał do dziś, obok języka. W tym znaczeniu: „Prabyt określa świadomość” (395). Tkwią w nas nadal atawizmy, pozostałości antropogenezy, oraz swoiste czucia ludzkie (z przedintelektualnymi emocjami) rodem z przedjęzykowego paleolitu. Nimi nadal reagujemy na świat, to znaczy artykułujemy je. Tkwią u jednych w większym, u innych w mniejszym stopniu, co tłumaczy myśl kolejną: „I logika ma tę słabą stronę, że jest nielogiczna dla tych wszystkich, którzy jej nie rozumieją” (677).

Logika przyszła wraz z językiem, ale choć on dostępny jest wszystkim, to jego funkcja istotna, odwzorowująca świat, nie. „Trogloerudyci” językiem władają, ale posługują się „mitologią” (643); mówią „argumentnie” (383), „ideę dogmatują do końca” (27). Takich mając na myśli,



powiada Lec: „Zgwałcić logikę mógł tylko ten, co ją posiadał” (289). I ostrzega wszystkich: „Sursum corda! Ale nie wyżej mózgu” (207).

Niepodległe intelektowi emocje, spoza życia naukowego, potrafią zniszczyć społeczeństwo wyznające kult rozumu. Tak pewnie należy pojmować słowa poniższe: „Uważajcie, nie tylko błąd w druku może zmienić «racjonalizm» w «nacjonalizm»” (222).

Duch społeczny podlega skomplikowanej dialektyce. Po pierwsze, społeczeństwo rozumne nie może tkwić w nędzy. Mówi Lec: „Żeby zwyciężył racjonalizm, trzeba zwiększyć racje” (497). Ale, z drugiej strony, nie może też trwać w dobrobycie. Gromady głodnych i nasyconych to jakby różne gatunki. Czytamy o tym: „Cóż wie zoolog znający zwierzęta jedynie z zoo, coź wiedzą o człowieku ci, co znają go jedynie na wolności” (540).

Wolność od głodu, chłodu, brudu, kłów zwierza i ludu – której wzorcem neolit, ale i dzisiejszy Zachód – taka wolność hamuje w człowieku porywy rozumności i szlachetności. Albowiem naszymi dążeniami rządzi tajemnicza asymetria. Widać ją przez pryzmat następującego zdania: „Apetyt przychodzi z jedzeniem, ale nie odchodzi z głodem” (598).

Ewidentnie inaczej jest z odwagą czy twórczością. Tkwiące w naturze ludzkiej spontaniczne dążenia są dwojakiemu rodzaju: autocentryczne i heterocentryczne. Cechuje je zasadnicza asymetria – szersza od nierówności dobra i zła: dążenia do celów własnych są bardziej dynamiczne niż do wspólnotowych, nie wymagają wsparcia. Eksplodujący zatem autocentryzm sytych tłumi ich wysiłki braterskie, na których wszelkie dobro stoi. Skąd to wszystko wiadomo? Z intuicji, opartej na indukcji – która posiłkuje się doświadczeniem własnym i ludzkością. Proste? Na tym, poza logiką, polega geniusz poznawczy Leca.

Wróćmy jeszcze do „nieubłaganego realizmu” oraz braku „psychologicznej bonifikaty” z *nieuczesaanej myśli* o zwierciadle (513). Obie sprawy rozjaśnione zostają przez cytat kolejny: „Pomocnicze wskazówki rozpoznawcze dla poszukiwaczy prawdy: Prawda jest czasem straszna” (576). Autor rzecz ujmuje jak wybitny logik Roman Suszko (w filmie *Rejs*), który wyróżniał *piękne kłamstwa* i *wstrętne prawdy*. Przykład tej ostatniej: „Nie ma prawd wiecznych? Może, ale kłamstwa są” (553).

Ten elegancki paradoks ujawnia i kłamliwość w naturze ludzkiej (to znaczy, że wciąż zdarzają się kłamliwi), i pęd ku prawdzie; i wieczny charakter prawdy – choćby tej, że przysługuje nam kłamliwość. O prawdomówności natomiast Lec w ten sposób powiada: „Czy wolno mijać się z prawdą? Tak, jeśli się ją wyprzedza” (28).

W istocie jest to teza filozofii praktycznej, normatywna, lepiej widoczna w innym aforyzmie: „Pamiętaj, nie zdradzaj nigdy prawdy! Zdradzaj prawdę!!!” (28).

Powinna się znaleźć w kolejnym paragrafie – aksjologicznym, ale obie przytaczamy tu, ze względu na ich aspekt antropologiczny: są ludzie prawdomówni, i są – rzecz można – prawdopędni. To samo, choć od innej strony widziane, wyraża aforyzm: „Myśl nie jest nigdy wolna. Ograniczona jest horyzontem głowy” (233).

Horyzonty są dwa: intelektualny i charakterologiczny. Jest też trzeci, wtórny, choć nie mniej istotny – społeczny. Ujęty został w zdaniu: „Najtrudniej o prawdę w czasach, gdy wszystko może być prawdą” (38). A czasy relatywizmu i nihilizmu, *ziemia Ulro*, przychodzą w wyniku kapitulacji względem przykazania: „Nie dajcie sobie narzucić wolności słowa przed wolnością myśli!” (278).

Poniechanie azymutu na prawdę rodzi wolność do bełkotu, o czym była już mowa w paragrafie *Filozofia kultury*. Owi „wolni” mówią wtedy, że sztuka i nauka skończyły się. A na to Lec: „Wszystko zostało już napisane, na szczęście nie wszystko jeszcze pomyślane” (106). Ponieważ pierwsze jest jedynie notacją drugiego, mamy do czynienia z intelektualnym zastojem. Cierpi na nim nawet rozrywka.

**5. Aksjologia.** Nie był Lec kaznodzieją, podobnie jak Arystoteles i Schopenhauer, inaczej niż wielu współczesnych filozofów, choćby Heidegger. Nie mówił jak powinno być, a jedynie jakimi zasadami ludzie się kierują, i ewentualnie które z nich są mu bliskie. O tych, które były mu odpychające, mawiał: „Skarlałe zasady – zasadzki” (390).

Na pewno bliski był mu Dekalog. Absolutyzm aksjologiczny (u niego w duchu Dekalogu) i metaetyczny kognitywizm tak wyrażał: „Wartości nieprzemijające nie ulegają wahaniom. Nie są notowane” (270). Nie są na giełdach czy rynkach, z natury utylitarnych. Oprócz bowiem dóbr mających cenę (*pretium*), jak mówili Seneka i Kant, ist-

nieją takie, które mają godność (*dignitas*). Nie znaczy to, że ludzkie systemy wartości, to jest głoszone aksjologie abstrakcyjne, z Dekalogiem na czele, rozwiązują sprawę. One jedynie wskazują powinny kierunek – sumieniu. To ono zaś rozstrzyga o konkretach decyzji, choć bez kulturowego wsparcia nie dałoby rady. Nie dają też rady konkretnym sytuacjom życiowym same dekalogi, przez inkwizytorów egzekwowane; są zbyt ogólnikowe, wymagają ciągłego znajdowania wyjątków od reguły. Kto tego nie widzi, temu Lec powiada: „Gdy wszystko musi się zgadzać, musi się coś nie zgadzać” (83).

Nie tylko w polityce czy gospodarce, także w etyce i w estetyce tak jest. Przykładowo, etyki ewangelicznej nie pojmował płasko – jako szafowania miłością. Świadczy o tym myśl poniższa (dziś niemodna bądź objęta wręcz tabu): „Dobroczynność – dobrobierność” (507).

Niekaznodziejski rys Leca, ale i wyraz jego umiarkowanego rygoryzmu, widnieje w lekkich pozornie słowach: „Nie pisz Credo na parkanie!” (37). Jak mówił bowiem Seneka: „prawdę należy mówić tylko temu, kto chce jej słuchać”<sup>13</sup>; zwłaszcza prawdy naczelne. Po drugie, co ważniejsze, nie każdemu się prawda należy.

Rysem zasadniczym postawy Leca był jego wyraźny eudajmonistyczny heterocentryzm. Mamy go poniżej, ujęty w trzech rzutach. „Smutne, gdy najdroższą istotą jest dla kogoś jedynie istota zagadnienia” (62). „Nie wystarczy mówić do rzeczy, trzeba mówić do ludzi” (54). „Waga zagadnienia liczy się brutto. Z nami” (76). Autocentryzm mierzył Leca.

Ważne uwagi w *Myślach nieuczesanych* poświęcono, jakby rzekł Leśmian, „obyczajom pośmiertnym”, a zwłaszcza ich „zdziczeniu”. Powiada autor, serio przecież: „Styl życia obejmuje i śmierć” (421). O braku stylu w tej materii mówi: „Ten, kto trzyma się kurczowo życia, może zginąć wraz z nim” (250). O „leczeniu śmierci” zaś, tak współczesnie powszechnym: „Rozwój medycyny przyniesie koniec liberalnych czasów, kiedy obywatel mógł sobie umrzeć, kiedy chciał” (512).

---

<sup>13</sup> Seneka: *Myśli*, przeł. S. Stabryła. Kraków 1987, s. 411.

I wciąż przy „stylu pośmiertnym” pozostając, bo nie o *prosperity* tu chodzi, a o eutanazję – pisze: „Życie ludzkie wolno przedłużać jedynie wtedy, gdy skraca się jego męki” (224).

Na koniec trzy wersety o karze głównej, która za Leca jeszcze w jego otoczeniu funkcjonowała. Świadczą one, rzecz jasna, o jego aksjologii. „Kiedy zniosą karę śmierci, śmierć nie przestanie być karą” (349). „Jestem za zniesieniem kary śmierci, lecz również przeciwko wprowadzeniu śmierci jako nagrody” (203). „I po pustych szubienicach poznać, że coś wisi w powietrzu” (286). Wisi mianowicie anarchia, a po niej tyrania.

Tyle byłoby o etyce Leca, tyle o całej jego filozofii. Komu powyższe myśli ufryzowane nie leżą, może je, rzecz jasna, rozczochrać.

**6. Biografia.** Wspomnijmy na koniec o labiryntcie życia Stanisława Jerzego Leca. Współczesnym może się on bowiem wydać mrocznym tunelem, deprecjonującym z marszu postać i dzieło tego autora. Otóż był Lec Polakiem żydowskiego pochodzenia jak Leśmian i Lem. Jako syn barona Benona de Tusch-Letza, urzędnika, i Adeli z domu Safrin, uczęszczał do szkół w Wiedniu i we Lwowie (ukończył powszechną szkołę ewangelicką i niemieckojęzyczne gimnazjum). Studiował na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie – polonistykę i prawo (które ukończył w 1933 r.). Nastawiony lewicowo, pisywał i drukował od 1929 r. liryki i satyry; współredagował pisma. W latach 30. komunizował i uprawiał poezję (3 tomiki). Po wybuchu II wojny światowej wyjechał z Warszawy do Lwowa, wstępując do Związku Radzieckich Pisarzy Ukrainy. Po wkroczeniu Niemców w czerwcu 1941 został osadzony w obozie koncentracyjnym w Tarnopolu. W 1943 r. z niego zbiegł. Przedostał się do Warszawy i zasilł szeregi Gwardii Ludowej, a następnie Armii Ludowej.

W 1944 r. brał udział w walkach partyzanckich na Lubelszczyźnie, m. in. w bitwie pod Rąbłowem; ożenił się; od lipca w stopniu majora LWP. Po zakończeniu wojny współredagował w Łodzi tygodnik „Szpilki”, a w 1946 r. wyjechał jako attaché prasowy Polskiej Misji Politycznej do Wiednia. Stamtąd w roku 1950 emigrował do Izraela, za co został wyrzucony ze ZLP. Po dwóch latach powrócił jednak do Warszawy; ponownie się ożenił. Będąc na indeksie, zajął się przekładami

z literatury niemieckiej (Brechta czy Schillera), od 1954 r. publikował już w czasopismach własne utwory liryczne, satyryczne i – po raz pierwszy – aforystyczne. W 1955 r. przywrócono go do ZLP; po wojnie wydał 8 zbiorów wierszy, aż w pamiętnym 1957 – roku odwilży – ukazało się I wydanie *Myśli nieuczesanych* (w 1959 i 1964 – kolejne, poszerzone). Zawarty w nich pogląd na świat wyniknął niejako wspan, wbrew wyborom życiowym autora<sup>14</sup>. To jest ekstrakt, można rzec, z całego pięćdziesięcioletniego życia; podsumowanie dwudziestowiecznej wędrówki poety przez kręgi piekła Hitlera, czyściec technologii i niebo Stalina.

---

<sup>14</sup> Skoro możliwe są światopoglądowe konwersje w jedną stronę – jak u prof. Jana Legowicza (niegdyś księdza wykształconego we Fryburgu i ratującego uciekinierów z Auschwitz, następnie członka PPR i PZPR, choć bez większych konsekwencji), to także i w drugą, tym bardziej umiarkowane.